

BEATA MAJEWSKA



Jego druga
ŻONA

BEATA MAJEWSKA

Jego druga
ŻONA

MIRAZ

Redakcja: Paulina Zyszczyk – Zyszczyk.pl
Skład DTP: Andrzej Zyszczyk – Zyszczyk.pl
Korekta: Andrzej Zyszczyk – Zyszczyk.pl
Projekt okładki: Ilona Gostyńska-Rymkiewicz – Ilonadesign.pl
Zdjęcie autorki: Samuel Kubarek
Źródła grafik:
strona tytułowa – Maksim Toome (dreamstime.com)
ostatnia strona okładki – Belphnaque (stock.adobe.com)
logo Wattpad – Pixel perfect (flaticon.com)
zdobienia – pumashoeme (vecteezy.com)
Druk: Drukarnia Lega

Zamówienia hurtowe: biuro@infobis.pl
Dystrybutorzy:
L&L Firma Dystrybucyjno-Wydawnicza – <https://ll.com.pl/>
Platon Sp. z o.o. – <https://www.platon.com.pl/>
Ateneum – <https://www.ateneum.net.pl/>
Księgarnia: www.dobrarada.com.pl

Copyright © Beata Majewska
Copyright © INFOBIS Rafał Głąb / Wydawnictwo Miraż, 2021

Wszelkie prawa zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody wydawcy jest zabronione.

Wydanie I
ISBN 978-83-960951-6-9



Śledź mnie na Facebooku:

<https://www.facebook.com/AugustaDocher>



Od autorki

Nazwiska, daty i niektóre dane, takie jak nazwy hoteli, klubów i restauracji, zostały zmienione dla bezpieczeństwa osób opisywanych w książce. Żeby zapewnić bohaterom jeszcze większą anonimowość, akcja powieści jest osadzona w czasie bliżej nieokreślonym, a wszelkie fakty historyczne oraz powszechnie znane okoliczności o charakterze politycznym, kulturalnym i innym, które nie miały znaczącego wpływu na przebieg wydarzeń, zostały albo pominięte, albo umieszczone na osi czasu niezgodnie z ich prawdziwą chronologią.

W trakcie pisania korzystałam nie tylko z notatek, lecz także z licznych opracowań na temat Bliższego Wschodu.



Prolog

Madame Isabelle, zaszczyisz mnie dzisiaj swoją obecnością?

To nasze drugie spotkanie, lecz ja nie jestem ani trochę spokojniejsza niż za pierwszym razem. Znowu czekam, pełna obaw, że Iza nie przyjdzie, by opowiedzieć mi dalszy ciąg swojej dramatycznej historii. Na korzyść powodzenia mojej pisarskiej misji przemawia fakt, że Izabelli spodobała się pierwsza część serii, roboczo nazwana przeze mnie *Zarzucanie sieci*. Ten właściwy tytuł, dla Izy i czytelników, brzmiał *Jego wysokość* – on również przypadł jej do gustu. Przeczytała całą powieść spisana na podstawie jej wspomnień i odesłała plik bez żadnych uwag. Szkoda tylko, że nie odniosła się do moich pytań oraz komentarzy.

W trakcie tworzenia *Jego wysokości* nasunęło mi się spostrzeżenie, że książkę stosował wobec Izy pewną technikę uwodzenia. Zwie się *pull and*



push i jest metodą stosowaną w marketingu, lecz nie tylko. Mężczyźni pasjonujący się podrywaniem kobiet także jej używają, często z sukcesami, przy czym sukces tożsamy jest z zaciągnięciem kobiety do łóżka.

A na czym polega metoda *pull and push*? Wystarczyło uważnie prześledzić poczynania Omara, by zauważyć pewną prawidłowość: pokazywał, że mu zależy, a za chwilę się odsuwał i dystansował. Mistrzowsko budował napięcie i swoją atrakcyjność, nieustannie dawał do zrozumienia, że ma wyższy status społeczny, był przy tym diablo przekonujący i jeszcze bardziej nieprzewidywalny. Jego wysokość zdobył wszystkie bramki – uwiódł Izę, rozkochał ją w sobie i wziął z nią ślub.

Bądźmy szczerzy, cała otoczka, którą omotał Izę, zrobiłaby wrażenie na każdej kobiecie. Nawet na mnie, chociaż ja potrzebuję do życia tylko paczki papierosów R1 i odrobiny słońca. Czemu Iza nie dostrzegła, że książkę po mistrzowsku nią manipulował? Często wracała do mnie ta myśl, lecz Iza nie odniosła się do tego spostrzeżenia. Widocznie zakochanie rządzi się swoimi prawami. Nawet ślepe, a może zwłaszcza takie.

Jest!

Słyszę ciche pukanie. Podbiegam do drzwi i otwieram. Za progiem stoi moja muza. Wchodzi do pokoju i rozgląda się dyskretnie, lecz nie żeby podziwiać jego wystrój – bardzo skromny i zwyczajny – raczej by sprawdzić, czy teren jest czysty. Ciekawe, czy



kiedykolwiek się pozbędzie nieufności, okazywanej nawet mnie, powiernicy jej sekretów.

– Cieszę się, że przyszedłaś.

– Ja też. Miło cię znowu zobaczyć.

Zbliży się, żebyśmy mogły się objąć. Boże, ta dziewczyna zawsze tak pięknie pachnie, ale przecież nie będę jej wypytywać, jak się nazywają te cudowne perfumy. O ile w ogóle można je kupić w Polsce czy przez internet. Odsuwa się, a wtedy mogę ją pooglądać. Natychmiast rzuca mi się w oczy niesamowita elegancja Izy – markowe ciuchy w stonowanych odcieniach bieli, czarne dodatki: torebka, szpilki, chusta, wypięłgnowane wargi równo pokryte pomadką w kolorze nude. Z biżuterii zauważam jedynie złoty zegarek z dyskretnym cienkim łańcuszkiem. Powinnam zrobić jej zdjęcie i mieć w galerii smartfona, gdy następnym razem wpadnę do sieciówki i pod wpływem impulsu zachce mi się kupić żółty T-shirt ze SpongeBobem.

– Jak podróż?

– Bez problemów.

– Czego się napijesz?

– Masz może piwo?

O! Spytała o alkohol?

Zaglądam do małej lodówki i – proszę! Jest piwo. Nawet dwa rodzaje.

– Żywiec może być? Czy książęce?

Obie parskamy śmiechem. Żywiec to miasto, w którym są produkowane ulubione krówki Omara, druga nazwa piwa nie wymaga komentarza.



– Niech będzie książęce – odpiera Iza.

Siada na brzegu łóżka, zdejmując kapsel otwieraczem i bierze kilka porządných łyków.

– Byłaś bardzo spragniona – mówię, gdy opróżniła duszkiem pół butelki.

– Nie, kochana. Jestem zbyt trzeźwa, żeby zacząć. Tak sobie myślę, że... – Przechyliła się, żeby spojrzeć na lodówkę. – Drink byłby lepszy. Wódka z sokiem? – Unosi brew. – Bez soku też ujdzie.

„Już się robi, *madame*. Będzie pani zadowolona” – mówię w myślach.

Nie mam zbyt wielkich doświadczeń w sporządzaniu drinków, dlatego wlewam do wysokiej szklanki trochę soku i dopełniam wódką. Tak, właśnie w tej kolejności i proporcji.

– O to chodziło – mówi z zadowoleniem.

– Mogę już włączyć dyktafon?

Aż się palę, by poznać dalsze losy Izy i Omara.

– Tak, zaczynamy...



Rozdział 1

 powiem ci baśń o przystojnym, bogatym księciu i biednej, głupiej dziewczynie, która uwierzyła w jego zapewnienia o wielkiej, dozgonnej miłości. Miłości przez duże M. To właśnie ja spotkałam księcia. Wprawdzie nie przygłospował na białym rumaku, tylko przyleciał do mnie swoim prywatnym boeingiem, ale i tak było jak w baśni. W baśni o Kopciuszk, rzecz jasna. A jakie będzie zakończenie? Czy spełni się bajkowe „żyli długo i szczęśliwie”, skoro mój wspaniały książę nie napomknął o fakcie, że już ma jedną żonę, czekającą na niego w pałacu? Jego wysokość wziął ze mną ślub, spędziliśmy najpiękniejszy miesiąc miodowy na jachcie, dniami i nocami nie wychodziliśmy z łóżka, ale każdy, nawet najcudowniejszy okres w życiu człowieka kiedyś się kończy.

Gdybym wiedziała, co mnie czeka tutaj, w Rijadzie – stolicy Arabii Saudyjskiej – nigdy nie wyszłabym za Omara. Miałam żyć jak księżniczka, jedyna, najukochańsza, wybrana. Jego Złoty Miraż. Byłam inspiracją, a jego wysokość książę Omar



ibn Ahmed ibn Hamid al-Aziz al-Saud rzucił cały świat do moich stóp.

Szkoda tylko, że ja też upadłam...

Gdy odzyskuję przytomność, leżę na łóżku, a wokół krzątają się Latifa i Samia. Ta druga to moja nowa osobista służąca, czego się dowiedziałam z ust Latify.

Jakby mnie obchodziło cokolwiek.

Nic mnie nie obchodzi!

Czy one nie widzą, że ja tu umieram z rozpacz?

– Jak *madame* się czuje? – pyta Latifa. – Mogę jakoś pomóc?

Jak się czuję? Jak ktoś, kto runął z samego szczytu i wleciał wprost w środek czarnej dziury. Umieram. Cała drzę, gniecie mnie w mostku, chce mi się płakać, bo doskonale wiem, że to nie koszmarny sen, tylko jawa – moja nowa rzeczywistość. Jeszcze nie mam siły podejmować walki, żeby wyrzucić z siebie emocje, które rosną, dławią w gardle i odbierają oddech. Zamykam oczy, próbuję się odciąć – zniknąć stąd, magicznym sposobem znaleźć się z powrotem w Warszawie, w moim mieszkaniu. W rzeczywistości bez Omara.

– Zostawcie mnie – mówię cicho, kiedy Latifa ponawia pytanie.

– *Madame*, napędziła nas pani strachu.

Tak? Czym? Co znaczy zasłabnięcie kolejnej żony? W razie mojej awarii Omar ma przecież



Aiszę – młodą, śliczną, wierną. Nie taką jak ja – wadliwą, bo niewierzącą. Jestem tylko zwykłą chrześcijanką, która nigdy nie zmieni wyznania.

– Powiedziałam: odejdźcie. Nic mi nie dolega.

Obracam się na bok, naciągam kołdrę na głowę i udaję, że śpię. Lecz nie jest mi pisany spokój. Po dłuższej chwili słyszę jakieś zamieszanie. Ludzie obecni w sypialni rozmawiają nad moją głową po arabsku, rozpoznaję głos Rashida i od razu czuję gniew. Musiał wiedzieć o Aiszy! Jest najbliższym pracownikiem Omara, zna każdy jego sekret. Przez długie tygodnie przebywał z nami na jachcie, na którym spędziliśmy podróż poślubną. To on był świadkiem mojego męża, gdy ten składał przysięgę. Pacholek Omara i zwykły oszust.

Brzydzę się nim.

– Proszę wybaczyć, *madame*, ale musi panią zbadać lekarz.

Latifa chwyta brzeg kołdry i ściąga ją z mojej głowy. Jest mi wszystko jedno, przecież nie będę się z nią szarpać. Pozwalam jej pomóc mi usiąść i patrzę na obcego człowieka stojącego w nogach łoża. To pewnie lekarz. Jest niski, gruby, a zamiast fartucha ma na sobie thob i chustę w biało-czerwone wzory.

Witaj, arabski doktorku, a oto ja – świeżo upieczona małżonka księcia Omara, histeryczka i wariatka.

– Będę obecny przy badaniu – dodaje Rashid. – Jego wysokość zażyczył sobie jak najszybciej poznać wszelkie informacje o stanie pani zdrowia, *madame*.



„Lepiej powiedz, że chcesz popatrzeć” – myślę z przekąsem, lecz wtedy Rashid siada w fotelu odwróconym oparciem do mnie. Co za wzorcowa dyskrecja! Pieprzony Judasz!

Dwa kwadranse później Rashid ma jasność – jestem zdrowa jak nie przymierzając klacz arabskiej krwi prosto ze stadniny w Janowie Podlaskim. Zdrowa, młoda klacz, ściągnięta tutaj, do Rijadu, by służyć ucieście jej nowego pana i władcy. Doktorek zmierzył mi ciśnienie, a potem do sypialni wjechał wózek medyczny i lekarz mógł wykonać również badanie EKG. Pobrał mi krew do analizy, pełne fiolki już pojechały do prywatnego laboratorium przynależącego do kliniki rodziny Omara. Wyniki będą do godziny.

Beznamiętnie słucham, że nic poważnego mi nie dolega, a zasłabnięcie było efektem nadmiaru przeżyć, zmiany klimatu i jet lagu. Doktorek chyba zwariował. Jet lag? Pomylił Francję z Alaską? Co za dureń. Mam dużo pić, właściwie się odżywiać, spać przynajmniej osiem godzin na dobę, a najlepiej dziewięć, odpoczywać i nie stresować się niczym. Jakież to proste, prawda? Zwłaszcza ostatnie zalecenie – banal!

– Przekażę dobre wieści jego wysokości – mówi Rashid.

– Powiedz, że aparatura EKG jest zepsuta, a ten lekarz to zwykły konował. – Wskazuję brodą na doktorka. Facet od razu pęcznieje na twarzy jak ryba najeżka, która nadyma się niczym balon, kiedy



się ją wyciąga z wody. Otwiera usta, ale Rashid daje mu znak, że ma milczeć, i mówi do mnie:

– Nie rozumiem, *madame*.

– Nie rozumiesz? Twój szef złamał mi serce.

– Och... dziwny żart, *madame*, ale kładę to na karb zdenerwowania – odpiera Rashid.

Zerka na lekarza. Ten kwaśno się uśmiecha, pewnie sądzi, że jestem bezczelną, rozbastwioną babą, którą jego wysokość powinien jak najszybciej nauczyć pokory. Na przykład przy pomocy pięści.

– Coś jeszcze? – pytam.

Rashid znów zerka na lekarza, pokazuje mu gestem, że ma wyjść. Po chwili w sypialni zostają tylko Latifa – pewnie pełni funkcję przyzwoitki – oraz sekretarz mojego zakłamanego męża.

– Jego wysokość prosi o wybaczenie, ale nie pojawi się na kolacji. Postanowił pozostać ze swoją matką. Prawdopodobnie przenocuje w klinice, ewentualnie w swoim rodzinnym pałacu. Szanowna matka jego wysokości, *madame* Soraja, wyraziła życzenie jak najszybszego powrotu do siebie, do pałacu, a księżę próbuje jej to wyperswadować. *Madame* na pewno rozumie, że jego wysokość musiał wybrać, której z pań będzie towarzyszyć.

– A niech sobie siedzi u mamusi. W ogóle mi to nie przeszkadza. – Wzruszam ramionami. – Jestem tu tylko przejazdem, Rashidzie.

– Proszę się nie denerwować. Bardzo proszę, *madame*.

– Ależ ja się w ogóle nie denerwuję.



Skądże znowu. Jestem spokojna i pogodzona z losem, ale poczekaj, fałszywcu: jutro dorwę Omara i usłyszysz, że to koniec. Koniec z nami.

– Zatem się oddalę. Bardzo się cieszę, że *madame* nic poważnego nie dolega.

Zostaję z Latifą. Pyta, czy ma zawołać Samię. To Samia ma zostać moją główną służącą, jest lepiej wykwalifikowana, skończyła nawet studia. Jakież? Czyżby istniała wyższa szkoła kształcąca przyszłe służące żon arabskich książąt? Latifa zaś ma wrócić do Francji, na jacht.

– Wolę ciebie.

– *Madame...* – Latifa jest zakłopotana. Strzela oczami to na mnie, to na drzwi, za którymi czeka Samia.

– Powiedziałam: wolę ciebie. Nie znam tej drugiej i nie chcę poznawać. Bo i po co? Jutro wyjeżdżam.

– Dokąd, *madame*?

Jest głupia czy tylko udaje?

– Do domu.

– Teraz tutaj jest dom *madame*.

– Mylisz się, kochana. Jutro stąd wyjeżdżam.

– Czy *madame* sobie czegoś życzy? Proponuję herbatę.

– Chętnie wypiję. Dziękuję, Latifo.

Zauważa, że niezbyt udolnie staram się umościć na poduszkach, dlatego podchodzi i pomaga mi je ułożyć pod plecami. Najchętniej bym wstała, kazała zawołać tu Rashida, żeby ten natychmiast



ściągnął Omara do pałacu. Im dłużej się zastanawiam, tym szybciej chcę się rozmówić z Omarem.

– Proszę, poczuje się *madame* znacznie lepiej. – Latifa podaje mi filiżankę z ziołowym naparem.

Poznaję ten zapach. Tak samo pachniała herbata, którą Latifa zrobiła dla mnie w dniu mojego ślubu. Byłam zdenerwowana, cała się trzęsłam, przejęta czekającą mnie ceremonią. Szkoda, że wtedy nie wiedziałam tego, co wyszło na jaw dzisiaj przy śniadaniu. Porzuciłabym w diabły Omara i jego wielką miłość. Pewnie ryczałabym przez tydzień, wypłakiwałabym się w ramionach Justi, ale dzisiaj miałabym spokojną głowę i świadomość, że uniknęłam katastrofy.

Upijam łyk gorącego naparu i patrzę na Latifę. Kręci się po sypialni, już uprzątnęła wszystko, medyczny wózek zniknął wraz z doktorkiem, fotele stoją idealnie równo przed stolikiem kawowym, a wazon z kwiatami wrócił na swoje miejsce. Jest cicho, czysto i pięknie.

– Zostaw to – mówię, widząc jej daremne starania znalezienia sobie jakichś sensownych zajęć. – Chodź tu, chcę pogadać.

– Dobrze, *madame*.

Zabiera mały, bogato zdobiony taboret i siada przy boku łóża.

– Powiedz: co byś zrobiła na moim miejscu? – pytam, przechyliwszy do dna filiżankę. Podaję jej puste naczynie, podpieram się na łokciu i patrzę z rozbawieniem na speszoną Latifę.



Długo się namyśla, w końcu odpowiada:

– Czy *madame* wie, co znaczy termin „IBM”?

– IBM? No pewnie. To koncern produkujący komputery? – Mimo wszystko wolę się upewnić, żeby nie palnąć jakiejś głupoty.

– Owszem, ale tutaj, w Saudi, ogólnie w naszej arabskiej kulturze, ten termin oznacza coś jeszcze. Przede wszystkim gdybym była na miejscu *madame*, nigdy nie spytałabym zwykłej służącej, jak mam postąpić w tak istotnej sprawie.

– Domyślam się. W zasadzie podjęłam już decyzję, chcę ją jedynie skonsultować.

– I tu się przydaje IBM.

– Czyli?

Trochę mnie wkurza jej okrężna droga do celu, ale co mam robić? Kazać jej pójść do diabła wraz z resztą i zostać tu sama? Przecież wiem, jak to się skończy – będę płakać, aż braknie mi łez.

– U nas czas płynie wolniej niż w kraju, z którego *madame* przybyła. Wszystko trwa i trwa... – Zawiesza głos. Podejmuje dopiero po chwili: – Minuta w Saudi to jak godzina w Polsce, *madame*. Widzę, że się pani niepokoi, dlatego już wyjaśniam, co znaczy tajemnicze IBM. Ten zwrot ma swoje korzenie w Egipcie, tam jest najczęściej używany. Litera I to skrót od *inshallah* – „jeśli Bóg nam pozwoli”, inaczej: „stanie się zgodnie z Jego wolą”. Druga litera, czyli B, to *bukra*, po egipsku „jutro”, a ostatnia to *maalesz*, z egipskiego „wszystko jedno” lub „bez znaczenia”. Już *madame* rozumie? Należy się poddać



woli boskiej, nie myśleć o tym, zdać się na mądrość Allaha i przeznaczenie, a wszystko się ułoży.

– Ależ z ciebie Scarlett O'Hara – fukam zirytowana.

– Kim jest ta dama?

– To bohaterka książki.

– Aha.

– Nieustannie stosowała wasze IBM, u niej to brzmiało: „pomyślę o tym jutro”.

– Szkoda, że nie jesteśmy oryginalni. – Latifa delikatnie się uśmiecha.

– Czy ty naprawdę nie rozumiesz, co się stało?

– Ciężko mi wejść w umysł *madame*, ponieważ jestem muzułmanką i inaczej pojmuję pewne sprawy, ale...

– Nie chodzi o pojmowanie! – przerywam jej gwałtownie. Siadam i energicznie pocieram policzki. – Omar mnie oszukał, zataił przede mną, że jest żonaty. Nie rozumiesz? – Spoglądam na nią. Okłamał mnie, oszukał, nadużył mojego zaufania. Wiesz, co to oznacza?

– Mogę się domyślać, *madame*.

– Nie, nie możesz. Nie masz pojęcia, co teraz czuję.

– *Madame* ma rację.

– No właśnie. Mam rację. Mój mąż to oszust, sprytny łgarz, który zwabił mnie tutaj, a teraz, zasłaniając się płaszczem uszytym z religijnych zasad, będzie próbował mi wmówić, że tak jest dobrze, bo zgodnie z prawem szariatu.

– Skąd pani to wie?



– Znam go. Chociaż nie do końca, jak się dzisiaj okazało. – Potrząsam głową, bo ciągle nie mogę uwierzyć, że znalazłam się w czarnej dupie, i to na własne życzenie. – Czyli nie powiesz mi, co byś zrobiła na moim miejscu?

– Już odpowiedziałam *madame*. Zastosowałam bym metodę IBM.

– Ech. – Zakrywam twarz i przez chwilę dumam nad jej słowami. Kiwam się w przód i tył, jak dziecko z chorobą sierocą, ale to nie przynosi ani ukojenia, ani rozwiązania. – Wiesz, jak się czuję? – pytam, odsłoniwszy twarz. – Jakby mnie ktoś rozplatał mieczem na pół. Teraz będę połową. Połową żon Omara. Pół Omara dla mnie, pół dla Aiszy. Nie znam tej dziewczyny, bo to dziewczyna, nie kobieta, a mój mąż, z którym spędziłam prawie miesiąc... MIESIĄC byliśmy razem, dzień w dzień, noc w noc, godzina w godzinę – wymieniam – nie jest mój, jest nasz. N a s z. Będę się nim dzielić, rozumiesz? Dzielić miłością. To jest... to jest... – jąkam. – To jest niewyobrażalne. Niemożliwe. Nie da się kochać dwóch żon, tak samo jak nie da się kochać dwóch mężów naraz.

– W islamie nie można mieć dwóch mężów.

– Wiem! – Podnoszę głos, lecz gdy widzę reakcję Latify, natychmiast mówię: – Przepraszam.

– Nic się nie stało. *Madame* ma prawo być wzburzona.

– Jestem wzburzona, wściekła i rozczarowana. – Opadają mi ramiona, ale się nie rozpłaczę, jeszcze



nie teraz. – Ty nic nie rozumiesz. Nie da się tak samo kochać dwóch żon, to niemożliwe.

– Zgadzam się, *madame*. Jego wysokość kocha *madame*, kocha też *madame* Aiszę, ale to, że każdą z was kocha inaczej, nie znaczy, że którąś darzy słabszym uczuciem.

– Nadal nie wiesz, o co mi chodzi. Mam brata, na imię ma Tomek, pamiętasz Tomka?

– Tak. – Błyska zębami.

Cóż, tego wariata się nie da zapomnieć.

– Tomek ma dwóch synów, Jakuba i Sławka. Jakub jest starszy, energiczny, wesoły, rozrabiaka. Sławek to przeciwieństwo, jest spokojny, posłuszny i miły. Każdego z nich Tomek kocha tak samo mocno; Jagoda, ich mama, też. Gdy urodził się Sławek, jego rodzice nie musieli się dzielić swoją miłością, nie musieli zabrać miłości Jakubowi i dać drugiemu dziecku. Ta miłość, ta konkretna – podkreślam – potrafi się rozmnożyć. Podwoić, potroić, żeby starczyło dla każdego dziecka.

– A miłość małżeńska nie?

– To niemożliwe. Nie byłabym w stanie pokochać teraz drugiego mężczyzny. – Aż się trzęsę, kiedy próbuję sobie wyobrazić Łukasza, jednego z moich kumpli z MARPOL-u, jako drugiego potencjalnego męża. – To niewyobrażalne. Nie umiałabym kochać drugiego męża, miałabym problem nawet go lubić czy znosić. Czy to takie dziwne? Czy tylko my, kobiety, nie umiemy jednocześnie kochać dwóch mężczyzn, podczas gdy oni potrafią kochać kilka żon?



– Różnimy się, *madame*. Jesteśmy inne, inne od mężczyzn.

– Ale nie w tej kwestii. – Przygryzam kącik ust, żeby się nie rozplakać. – Nikt nie chce tylko fragmentu czyjegoś serca, ani kobieta, ani mężczyzna. Nikt nie chce być oszukiwany, pomijany w prawdzie, omamiony obietnicami bez pokrycia.

– Jego wysokość zawsze dotrzymuje słowa.

– Mylisz się, Latifo. Mój mąż już nigdy nie spełni jednej obietnicy, bardzo ważnej obietnicy, dlatego złamał mi serce.

Przeplakałam cały wieczór, słońce zaszło przed szóstą, a ja zaczęłam swój żaloszny seans łez. Gdy wybiła północ, opuściłam kurtynę. Zasnęłam, zmęczona, zbiedowana, nieprzytomna z żalu.

Poranek wita mnie promieniami słońca wślizgującymi się przez drewniane listwy żaluzji. Z od dali dobiega prawie niesłyszalny śpiew muezina. To z meczetu należącego do rodziny mojego męża. Leży na terenie posiadłości Omara. Latifa wspomniała wczoraj, że jeśli będę chciała pójść i się pomodlić, muszę poprosić męża. To on mnie tam zaprowadzi, ponieważ w Arabii Saudyjskiej wstęp do meczetu mają tylko muzułmanie.

Ale ja nie chcę. Nie chcę męża ani tym bardziej odwiedzin w meczecie. Nie liczyłam, że będę mogła tutaj publicznie praktykować swoją religię.



W Saudi nie ma ani jednego kościoła katolickiego, chociaż są już pierwsze nieśmiałe plany postawienia go w stolicy, na terenie tak zwanej Dzielnicy Dyplomatycznej, zajętej głównie przez placówki dyplomatyczne. Omar – zanim tu przyjechaliśmy – pozwolił mi na praktykowanie w specjalnej małej kajucie przeznaczonej tylko na moje religijne potrzeby. Nie widzi przeszkód, bym miała przy sobie katolickie dewocjonaalia: krzyżyk, łańcuszek z medalikiem przedstawiającym wizerunek Matki Boskiej, różaniec i inne, ale zastrzegł, że nie wolno mi tego nosić na sobie, nawet tutaj, w pałacu, czyli w miejscu zamieszkania. Uważa, że nie powinnam się obnosić przy służbie z symbolami wiary. To ma być najbardziej intymna sfera mojego życia, intymniejsza od wszystkich, przeznaczona tylko dla mnie. Nikt nie śmie widzieć, jak się modłę, a wszelkie przedmioty związane z katolicyzmem powinnam trzymać ukryte w specjalnej szkatule zamykanej na kod.

Mówię Latifie, że chcę być sama przez najbliższe pół godziny, a gdy opuszcza sypialnię, wyciągam różaniec, który dostałam od babci, i odmawiam całe pięć dziesiątek. Jestem trochę spokojniejsza, nawet schodzę na posiłek i jem lekki lunch w towarzystwie Aiszy. Dziewczyna wychodzi z siebie, żeby umilić mi czas. Opowiada trochę o pałacu, potem wspomina, czym się zajmuje przez całe dni. Otóż niczym, bo nie chodzi do szkoły. Skończyła tylko podstawówkę, nie pracuje, rzecz jasna, i nie ma



żadnych zainteresowań – to w skrócie. Zatem jak mija jej czas? Mieszka tutaj, schodzi na posiłki, uwielbia czytać jakieś durne gazety o celebrytach przysyłane z UK na zlecenie jego wysokości. Ponoć to ogromna łaska, że przystał na jej prośbę, ponieważ takie pisemka są *haram*.

Co do mnie: muszę odpowiedzieć na kilka jej pytań – czym się zajmowałam w Polsce, czy będę pracować tutaj, czy jego wysokość mi pozwolił i kiedy pokażę jej swoje projekty. Szczerze mówiąc, ponadmiesięczna przerwa od projektowania okropnie mnie rozleniwiła, ale nie zamierzam zawieść pana Marka. Planowałam ruszyć z robotą zaraz po przyjeździe do Rijadu, teraz nie wiem, czy dam radę włączyć laptop. O ile w ogóle będzie taka konieczność. Póki nie pogadam poważnie z Omarem, póty trwam w stanie zawieszenia.

Wracam do apartamentu po lunchu i nareszcie zdobywam się na odwagę, by zadzwonić do Omara. Czemu nie jestem zdziwiona, kiedy nie odbiera? Włącza się poczta głosowa. Nawet się nie nagrywam, bo i po co? Ponawiam próbę pół godziny później, trzeci raz dzwonię po obiedzie. Zero reakcji. Latifa nic nie mówi, widocznie nie dostała żadnych dyspozycji w tej kwestii, ale wiem, że jego wysokość się zgodził, żeby to ona była – przynajmniej na razie – moją jedyną służącą. Samia została oddelegowana do innych zajęć. Cóż za zbytek łaski.

Pod wieczór coś się dzieje. Do apartamentu przychodzi Rashid, oczywiście cały w ukłonach do



ziemi. Ma dla mnie wyniki badań – otrzymuję kopie wydruków, a oryginały zapewne trafiły do rąk jego wysokości. Nawet w to nie wątpię. Z dokumentów – są po arabsku – nie wyczytuję nic a nic. Dopiero Latifa podejmuje się przełożenia na angielski. Z całą pewnością jestem zdrowa, chociaż trochę niepokoi wynik morfologii – dolega mi słaba anemia. Odwiedza mnie kobieta odpowiadająca za pałacowy jadłospis. Zostaję skrupulatnie wypytana o preferencje żywieniowe; mówię, że nie mam żadnych alergii pokarmowych, jem w zasadzie wszystko. Szkoda tylko, że z moim apetytem kompletna kiszka.

Paniusia – waży chyba ze sto kilogramów, świetna z niej dietetyczka! – wychodzi i znowu pojawia się Rashid. Ma dla mnie wieści od księcia. Po pierwsze, nasza rozłąka potrwa jeszcze dwa dni, ponieważ matka jego wysokości wróciła do swojego pałacu i zażyczyła sobie towarzystwa syna, a po drugie, książę prosił, by przekazać mi wiadomość listowną oraz drobny upominek w ramach przeprosin za swoją nieobecność, która, chociaż stanowi konieczność, wywołała u niego „ból duszy”.

Ja pieprzę, sposób ich gadki jest czasami nieznośny.

Ale przejdźmy do upominku. To kasetka wyścielana atlasem. Oczywiście to tylko opakowanie – luksusowe, bogato zdobione inkrustacjami i okuciami ze srebra, ale nadal opakowanie. A zawartość? Omar podarował mi biżuterię: złoty naszyjnik składający się z szerokiej ni to listwy, ni to wstęgi, dosyć



krótkiej, przylegającej ściśle do szyi. U dołu gładkiej obroży są niezliczone zaczepy, metalowe pętelki, z których zwisają długie, cieniuchne jak nitki łańcuszki zakończone kropelkami ze szlifowanych rubinów. Naszyjnik jest zjawiskowy. Latifa – po swoich długich naleganiach – zapina go na mojej szyi i podaje lusterko. A ja? Szczerze? Mam ochotę chwycić za obrożę i ją zerwać, porwać w strzępy te wszystkie złote nici pętające mnie jak więzy niewolnika.

Rozpina naszyjnik i wkłada z powrotem do kasety, wychodzi, żebym mogła w spokoju przeczytać wiadomość od męża. Nie spodziewam się żadnych rewelacji i przełomu. Póki nie miną trzy dni naszej separacji, póty nic nie zostanie postanowione. Pierwszą wiadomość, przedwczoraj rano, dostałam w formie SMS-a, dzisiaj mój mąż napisał do mnie list. Co zabawne, zapakował go w wyglądającą znajomo kopertę – to identyczna papeteria, jaką widziałam, gdy Omar wysłał mi swój miłosny poemat o Złotym Mirażu.

Witaj, najdroższa Isabelle.

*Nie mogę się doczekać chwili, kiedy Cię
zobaczę. Chociaż to jeszcze tylko dwa dni,
dla mnie będą niczym piekielna wieczność.
Nie chciałabyś widzieć, jak się denerwowałem,
kiedy czekałem na wyniki badań. Niezmiernie
cieszy mnie fakt, że nic poważnego Ci nie
dolega. Ale to nie znaczy, że możesz się*



zaniedbywać. Proszę, a raczej nalegam, żebyś poświęciła sobie każdą myśl i staranie, a gdy wrócę, pragnę zastać moją najpiękniejszą żonę radosną i pełną życia.

Twój mąż

Chyba go pogięło. Naszego małżeństwa już w zasadzie nie ma. Zemdlalam przy śniadaniu, bo dowiedziałam się, że Omar jest żonaty. Byłam wystarczająco wredna przy Rashidzie, żeby dało się domyślić, że mam z czymś problem. Cholerny problem, nie jakiś mały problemik. A Omar pisze do mnie jakby nigdy nic, pieprzy od rzeczy, śle naszyjnik i tak dalej. On ma coś z głową, innego wytłumaczenia nie znajduję.

Przecież ja tu umieram! Umieram z wściekłości i z żalu! Rozpieprza mnie od środka. Moje życie się rozsypało, chcę odejść! Chcę z nim pogadać, powiedzieć, co postanowiłam, i stąd spierdalać! A on pisze do mnie jakieś bzdury! Radosna i pełna życia? Serio?

Argh!!!

Idę. Kurwa. Spać.



Rozdział 2

Ciąg dalszy koszmaru...

Oni naprawdę nie rozumieją, że jest mi źle? Czego ona chce? Ta uparta Latifa! Mam ochotę krzyczeć. Krzyczeć, wrzeszczeć, kazać im wszystkim pójść do diabła. Niech dadzą mi spokój! Czemu nie potrafią zrozumieć, że mój świat się zawalił, że umarłam? To koniec. Zostałam oszukana przez człowieka, któremu wierzyłam tak samo mocno, jak wierzę mamie i Tomkowi. To strasznie boli.

– *Madame?* – Latifa przechyla głowę i patrzy na mnie. – Zgadza się pani na propozycję *madame Aiszy*?

W jej wzroku widzę troskę i wsparcie, zupełnie jakby chciała mi przekazać, że jest tu ze mną, gotowa w każdej chwili nieść pomoc. A jednocześnie dostrzegam coś na kształt przygany: „sama tego chciałaś”. Tak, zgadza się, sama podejmowałam decyzje, teraz trzeba ponieść ich konsekwencje. Usilnie próbuję przywołać w pamięci to, co mówiła w takich sytuacjach Justyna: „Ej, laska, myśl konstruktywnie! Odrzuć emocje, skup się na



faktach”. Fakty są takie, że na razie, póki nie porozmawiam z Omarem – o ile będę w stanie – nic konstruktywnego nie zrobię. Bo niby co? Pojadę na lotnisko?

Marszczę czoło. Nagle wpada mi do głowy: czemu nie? Po cholerę czekać do jutra? „Zwijaj manatki, dziewczyno, i spadaj stąd jak najszybciej” – dodaję sobie animuszu.

– Powiedz: czy wiesz, gdzie są moje dokumenty? – pytam Latifę. – Paszport, prawo jazdy, mój portfel i karty kredytowe.

Ta od razu tężeje, a jej uśmiech z łagodnego zmienia się w plastikowy.

– Przepraszam, *madame*, ale nie mam pewności.

– Nie wiesz czy nie chcesz powiedzieć?

– W naszym słowniku nie ma pojęcia „nie wiem”, a przynajmniej być nie powinno.

Jezu. Zaraz mnie coś strzeli. Mam w dupie arabski słownik.

– To wiesz czy nie wiesz? Nie da się wiedzieć i nie wiedzieć jednocześnie! Albo wiesz, albo nie.

– Mogę tylko przypuszczać, gdzie się znajdują te rzeczy.

– Czyli? No mów. – Siadam na szezlongu i pocieram skronie. Rozsadza mi głowę. Zawsze, kiedy dużo płaczę, dużo i długo, okropnie boli mnie łeb. Gdy rano podniosłam powieki i próbowałam usiąść, miałam wrażenie, że moja głowa jest zrobiona z łożowiu. – Pewnie Omar nie pozwolił ci o tym gadać? Co? – Podnoszę wzrok na Latifę.



Stoi i głupio się uśmiecha, a ta druga – Aisza – zamiast coś powiedzieć, gapi się to na mnie, to na Latifę. Jej oczy są wielkie jak pięcioletówki, a usta półotwarte ze zgrozy. No tak, właśnie pojęła, że trochę się różnimy. Ona jest szesnastoletnim cielątkiem bez żadnych praw, a ja starą krową, która myślała, że je zachowa w każdym zakątku świata. Nie wiem, która z nas gorzej wypada pod względem intelektu. Chyba jednak ja.

– *Madame*, proszę być cierpliwą – odzywa się w końcu Latifa. – Jego wysokość wróci do pałacu, wówczas spokojnie porozmawiacie.

Wypowiada się ostrożnie, jakby stąpała po kruchym lodzie. Mogę tylko spekulować, że nie wolno jej wyrażać swoich opinii w podobnym tonie, stąd rozważny dobór słów. Omar kiedyś powiedział, że wobec pracodawców służba nie może sobie pozwalać na krytykę, doradzanie, sugerowanie nam czegokolwiek, o wyrażaniu sprzeciwu nie wspominając. Ponoć dobry służący nie patrzy w oczy swojemu panu, nie odzywa się bez pytania i nie oddala bez pozwolenia, czyli zachowuje się jak niewolnik.

– Porozmawiamy niewątpliwie. Czy spokojnie, tego nie byłabym pewna – mówię z przekąsem. – Omar ma szczęście, że ja to ja, nie Justyna. Justo to moja przyjaciółka.

– Wiem, *madame*. – Latifa kiwa głową. – Chciałabym zrozumieć, jaki ma związek panna Justyna ze spokojną rozmową między waszymi wysokościami.



Jaki związek? Zasadniczo żaden. Jedyne, co mogłabym opowiedzieć Latifie i Aiszy, to przypuszczalny przebieg zdarzeń tej konkretnej sytuacji, ale z udziałem Justyny. Jak znam Justi, rozwaliliby Omarowi łeb czymś ciężkim, choćby wielkim wazonem, w którym tkwi okazały bukiet białych róż, ale co by to dało? W sensie: moja opowieść. Czy to w ogóle ma jakieś znaczenie? Czy cokolwiek ma?

– Czego wy ode mnie chcecie? – pytam, kręcąc głową, bo ciągle nie wierzę w brutalną prawdę.

Że jestem drugą żoną Omara, a pierwsza stoi kilka metrów przede mną, zakutana w czarne szmaty od stóp do głów. I po co? Kto ją tu, kurwa, widzi? Ja? Latifa?

– Mówiłam – bąka Aisza. – Zapraszam cię do *hammam*, droga Isabelle.

A... no tak. Coś wspominała. Jakieś dziesięć dygresji temu. Tu naprawdę czas płynie wolniej niż w Polsce.

– *Hammam* – powtarzam. – To łaźnia?

– Tak.

I cyk: policzki Aiszy znów mają urocze dołeczki, jak w trakcie wczorajszej kolacji, a ona sama się rozpromienia, jakbym właśnie oświadczyła, że wygrała kumulację w lotto. O ile to by ją obeszło, rzecz jasna. Cóż, nasz mąż zapewne codziennie zarabia taką kumulację. No, może przesadziłam. A może nie? Kto go tam wie. Na wgląd do zeznania podatkowego, o ile je mają w Saudi, nie liczę.

– Zrelaksuje się *madame* – wtrąca Latifa.



Taa... na pewno. Nawet nie śmiem sądzić, że wizyta w łaźni zmieni wszystko, ale niech im będzie. Zresztą co mam do roboty? W kółko rozdrapuję rany, nie żeby zdążyły się już zabiżnić. O skupieniu uwagi na czytaniu czy serialach, zwłaszcza z wątkiem miłosnym, nie ma mowy. Na dodatek od razu chce mi się ryczeć. Co mam oglądać? Filmy wojenne?

– No dobrze. – Wstaję. Trochę kręci mi się w głowie, pewnie po herbatkach Latify, ale ogarniam. – Powinnam się jakoś przygotować?

– Nie. – Aisza podchodzi bliżej i chwyta mnie za rękę. – Zobaczysz, poczujesz się lepiej, Isabelle.

– Naprawdę? – Potrząsam głową. – Jesteś bardzo naiwna.

Łyka moje słowa bez żadnej reakcji, ale musiałam sprawić jej przykrość, ponieważ dołeczki znikają. Robi mi się trochę głupio, bo w sumie Aisza siedzi w tym samym bagienku co ja, na dodatek to raczej ona mogłaby mieć pretensje do mnie, że zrobiłam jej konkurencję, a mimo to jest miła i bardzo się stara.

– Ty też idziesz? – pytam Latifę.

– Nie, *madame*. To łaźnia wyłącznie dla żon jego wysokości. Tylko dla was, *madame*. Nikt poza małżonkami jego wysokości i kilkoma zaufanymi służącymi wyznaczonymi do pomocy nie ma tam wstępu, a na pewno żaden mężczyzna, nie wyłączając księcia.

– Kiedyś była dla mnie, teraz jest wspólna – dodaje Aisza.



Chyba nie muszę mówić, że już zapomniała o mojej niemiłej uwadze? To dziewczę to chodząca radość z życia. Musi mnie tego nauczyć, zanim stąd wyjadę.

O ile zdąży.

– Prowadź. – Wzdycham.

Żeby się dostać do łaźni, musimy wyjść z pałacu i pokonać niezbyt duży, ale nasłoneczniony i rozgrzany jak patelnia, dziedziniec. Z ulgą skrywam się w przedsionku wielkiego budynku z różowego piaskowca i marmuru. Pomieści spory harem, jeśli Omar uzna, że my dwie to zbyt mało. Ta myśl jest tak absurdalna, że zaczynam chichotać – pewnie to jeden z objawów głupawki, ale co mi pozostało, jeśli nie śmiech? Głównie z samej siebie.

– Podoba ci się? – Aisza zatrzymuje się na środku szerokiego holu i zadziera głowę. – Ładne, prawda?

Ładne? Ona chyba nie zna znaczenia tego słowa. To, co wisi nad naszymi głowami – przepiękna kopuła czy też sklepienie, nie jestem fachowcem od architektury – całe zrobione z witraży, maleńkich kosteczek w przeróżnych odcieniach żółci i oranżu, przepuszcza promienie słońca, a te rozświetlają na złoto białe, lśniący marmur ścian i posadzki. Oblędnie to wygląda. Brakuje mi słów, więc kiwam głową i bąkam, że bardzo ładne.

– Teraz będzie przebieralnia – informuje Aisza.

Aha, okej. Nie zabrałam stroju. Już mam jej powiedzieć, że jednak powinnam była się przygotować, no chyba że w szatni ktoś zapobiegliwie



zostawił dla mnie pasujący strój lub bieliznę, ale Aisza dodaje:

– Nie bój się, nikogo tu nie ma prócz nas.

– A służba?

– Przyjdą, jeśli zawołamy.

Drugie pomieszczenie jest jeszcze piękniejsze niż hol. To niezbyt duża salka, ma może dwadzieścia metrów kwadratowych, urządzona z przepychem – dominują: biel, złoto i zieleń – tu i ówdzie rozstawiono donice z egzotycznymi roślinami, są również wielkie lustra, dwie sofy z aksamitnym obiciem w zielono-białe pasy i stoliki, a na nich dzbanki z wodą, półmiski pełne słodkich przekąsek i flakony z tajemniczą zawartością.

– To, żeby zmyć makijaż – wyjaśnia Aisza, kiedy podnoszę jedną z przepięknie zdobionych butelek.

– Nie mam makijażu.

– Ja też nie, ale kiedyś możesz mieć.

– A gdzie zostawić rzeczy? – Rozglądam się, nie widząc żadnych szaf, wieszaków czy innych podobnych mebli.

– Gdzie chcesz. Możesz je rzucić na podłogę. I tak dostaniemy nowe, czyste szaty.

Ach tak. Na podłogę.

Otwieram usta, chcę jeszcze dopytać, czy mogę zostać w bieliznie i gdzie jest moja prywatna przebieralnia, ale Aisza mimowolnie udziela mi odpowiedzi na oba pytania, ponieważ odwraca się tyłem do mnie i zaczyna zdejmować ciuchy. Pierwszy raz



widzę jej włosy i muszę przyznać, że mnie lekko zatyka, bo sięgają do pośladków, które w całej okazałości widzę chwilę później.

Ona jest naga!

Aisza zdążyła się pozbyć ubrań oraz bielizny i odwrócić. Pewnie mam teraz bardzo głupią minę, bo patrzy na mnie ze zdziwieniem.

– Czemu się nie rozbierasz?

– E... Już – wykrztuszam.

– Wstydzisz się?

– Nie – zaprzeczam natychmiast, bo to, czego teraz doświadczam, to nie wstyd, raczej szok kulturowy, a może sytuacyjny. – To jednak trochę dziwne.

– Ale co?

– Hmm... Chodzi mi o twoje ubrania. – Wskazuję brodą na kupkę czarnych ciuchów leżącą tuż obok jej nóg, zgrabnych, ale zdecydowanie masywniejszych niż moje. – Chodzisz prawie całkiem zakryta, widać jedynie twoją twarz, a teraz...

– A teraz jesteśmy w łazni. – Błyska zębami.

– No tak. – Chrząkam.

Nie żebym tak całkiem się nie wstydziła, bo lekkie skrępowanie odczuwam, głównie dlatego, że nie znam Aiszy. Przy Justynie mogę się rozebrać do naga w minutę i nawet mi nie drgnie powieka. Justi też nie ma z tym problemu, znamy swoje ciała, widziałyśmy się wiele razy nago, choćby w szatni na basenie czy w klubie fitness. To akurat żadna nowość, ale z Aiszą rzeczy mają się trochę inaczej. Raz, że jest obca, dwa – sporo młodsza, na dodatek niepełnoletnia.



Ale nie to jest najgorsze.

Czy też najdziwniejsze.

– Jeśli nie chcesz całkiem się rozebrać, zawołam kogoś i przyniosą ci coś stosownego. Wolisz bikini czy strój kąpielowy? A może specjalną halkę do pływania i kąpieli?

– Nie, nie trzeba – oponuję od razu. Jeszcze tego brakuje, żeby dołączyła do nas jakaś pokojówka. – Po prostu... – Oblizuję wargi. – Trochę się krępuję, bo...

– Nie musisz nic mówić, Isabelle. – Podchodzi, chwytam mnie za dłoń i lekko ściska. – To wszystko jest dla ciebie nowe i nieznane. Możesz się czuć źle, ale to przejdzie, przywykniesz.

„Mylisz się, Aiszo. Nie przywyknę tak łatwo do myśli, że Omar widział cię nagą, jaką teraz widzę cię ja. Że kochał się z tobą i będzie kochał wiele razy, póki jesteś jego żoną” – myślę, przełknąwszy kulę w gardło. Aisza jest śliczna, niższa ode mnie, inaczej zbudowana, ma szerokie biodra, niesamowicie wąską talię i nieco większy rozmiar biustu. Co szokujące, wcale nie jest wydepilowana, jej przedramiona pokrywają ciemne włoski, ma je też na nogach, a wzgórek łonowy zniknął pod grubą, ciemną poduszczką.

Czyżby...

„Oni nie uprawiają seksu?” – gubię się w domysłach. Powinna się depilować, gdy planuje seks z mężem.

– Może ci pomóc? – pyta.



– E... sama dam radę – odpieram, zabierając rękę.

Ze zrzuceniem pantofli żaden problem, przy tu-nice też nie mam oporów, ponieważ pod spodem jest bielizna. Swoją drogą, Aisza nosi absolutnie przepiękną bieliznę, czarną, koronkową, rzekłabym: bardzo prowokacyjną. Moje bezszwowe cieli-ste figi i biustonosz bez żadnych udiwnień zapew-ne wydają się jej zupełnie pozbawione kobiecości, ale co mi tam. Najchętniej zostałabym w bieliźnie, lecz czas wziąć byka za rogi. Na marginesie – ta sytuacja jest dla mnie tak zaskakująca i wymaga-jąca elastyczności myślenia, że chwilowo przeszła mi ochota na tkwienie w czarnej rozpacz.

– Ale jesteś piękna... – stęka, kiedy rzucam na posadzkę ostatnią część mojej garderoby.

Ekhm...

Trochę szalona sytuacja.

Co najmniej jakbym się jej podobała w tym szczególnym kontekście.

W t y m.

– Ty też jesteś piękna – wykrztuszam.

– Ale nie taka jak ty. Wyglądasz jak... Nie wiem, brakuje mi słów. – Uśmiecha się. – Wcale się nie dziwię jego wysokości, że zwariował na twoim punk-cie. I pięknie mówisz po angielsku, jak prawdziwa Brytyjka, tak miękko.

Aha.

Istny cud ze mnie. Koń by się uśmieł. Ale co do wymowy: faktycznie, coś jest na rzeczy. Aisza wyra-ża się poprawnie gramatycznie, lecz także strasznie

